



Angielska kraina jezior



W. Brytania

Na początku były wulkany. Od milionów lat wygasłe, pozapadały się ze starości, formując wyniosłe wzgórza o łagodnych szczytach, ale urwistych zboczach. Tak powstały Góry Kumbryjskie. Cofający się lodowiec wyorał w masywie przepastne doliny, które wypełniła woda. Tak powstało szesnaście malowniczych jezior, wśród nich najdłuższe (Windermere) i najgłębsze w Anglii (Wastwater). Później pojawili się ludzie. Rzymianie, Normanowie, Celtowie, wikingowie, Szkoci, Anglicy.

Przez stulecia ta ziemia była odległym odludziem na niespokojnej angielsko-szkockiej rubieży. Odludziem uroczym, lecz mało gościnnym. Przez długi czas doceniali ją tylko rabusie i poeci. Przez wieki wycinano tu lasy, wypalano węgiel drzewny i potaż, sadzono lasy, wydobywano rudę żelaza, rudę ołowiu i grafit. Wycinano się wzajemnie w pień, hodowano owce, handlowano wełną.

Zwyczajna historia...

I nadszedł wiek XIX... Anglia przetrawiła już szok, jaki przyniosła jej rewolucja przemysłowa. Odlęgły od kumbryjskich jezior o rzut beretem Manchester kipiał nowoczesnością. I pieniędzmi. Wtedy drugie i trzecie pokolenie manchesterskich oli-

garchów dokonało odkrycia godnego Jamesa Cooka. Odkryło pod nosem nienaruszone bogactwo, ziemię piękną i nieskalaną. W połowie XIX wieku poprowadzono ku północy linię kolejową. Przy jej stacjach zaczęły rodzić się miasteczka. Tak powstało choćby Windermere, które nazwę powzięło od jeziora. Na wybrzeżach manchesterski biznes budował dziesiątki wytwornych rezydencji.

Dziś Lake District, region będący największym w Anglii Parkiem Narodowym, zajmując jedną trzecią obszaru Kumbrii, pilnie strzeże sielankowej intymności. Choć mieszka tu niespełna 50 tysięcy stałych mieszkańców, tylko trzy miejscowości liczą więcej niż trzy tysiące ludzi. Reszta żyje w niewielkich osadach albo na ukrytych w dolinach farmach, otoczonych wszechobecny tu kamiennymi murkami. Niełatwo sobie wyobrazić, że do tego skrawka arkadii, trzy godziny jazdy ekspresem z Londynu, przybywa rocznie 21 milionów turystów, niemal dwa razy więcej, niż odwiedza Polskę (2011).

Jak niewielki to obszar, uświadamiają odległości między największymi ośrodkami, z których żadna nie przekracza 45 kilometrów, jednak aby dotrzeć z Carlisle do Ambleside czy z Keswick do Bowness, trzeba czasu, bo jazda drogami, na których trudno się wyminąć dwóm samochodom, wymaga sporej rozważki. To najbardziej na północny zachód wysunięta część Anglii. Dwa tysiące kilometrów kwadratowych (z ogon-

kiem!) cudów natury... Łąk, gór sięgających tysiąca metrów, stromych dolin i zimnych jezior. Skoncentrowany kolorowy pejzaż, ułożony w harmonijną kompozycję, zachwycającą umiarem, wdziękiem i malarzką urodą. Rwące strumienie, wodospady, stare parki i ogrody, kilometry wijących się łupkowych ogrodzeń i pasące się przez okrągły rok owce dopełniają obrazu, jakby przeniesionego z antycznych bukolik.

– *Co takiego jest w Lake District?* – retorycznie pyta Nick Truch, dynamiczny szef agencji marketingowej w Windermere, przygotowujący turystyczną ofertę dla setek tysięcy gości, którzy w czasie londyńskich igrzysk olimpijskich przyjadą na Wyspy. – *Wszystko dla każdego. Dla młodych i starych. Piękne krajobrazy, zachwycające jeziora, góry, tak lubiane przez Anglików z nizin. Można tu uprawiać sporty, można bezpiecznie pokonywać setki kilometrów szlaków. Są tu kempingi i pensjonaty, luksusowe hotele z szefami kuchni znanymi z przewodników Michelin, tradycyjne wiejskie puby i cottages, w których można – już od 35 funtów – zanoć i rano zjeść śniadanie.*

W głosach ludzi w Lake District słychać szczególną nutę dumy. Jerry, kierowca busika firmy Mountain Goat, obwozący turystów po parku, na co dzień wozi paliwo cysterną. Ale dwa dni w tygodniu służy swej małej ojczyźnie...

Gdy zza kierownicy opowiada nam, 16-osobowej grupce zagra-

nicznych przybyszów, o urokach Newlands, Borrowdale Valley czy Honister Pass, czuje się w nim iście ambasadorski zapach. Autentycznym dyplomata okazał się natomiast Tom Macan, oficjalny przewodnik z Blue Badge Tourist Guide for Cumbria. Tom był ambasadorem Zjednoczonego Królestwa na Litwie i zastępcą Wysokiego Komisarza w Indiach. Po długiej służbie u Królowej wrócił do Kumbrii, gdzie jego rodzina osiadła 200 lat wcześniej. – *Tu dorastałem i stąd ruszyłem w świat. Fascynuje mnie Kumbria* – mówi refleksyjnie, gdy jedziemy do Grasmere wąską drogą, wijącą się niczym tor rollercoastera w wesołym miasteczku. – *Kocham średniowiecze, jestem nawet kościelnym dzwonnikiem, a gdy patrzę na łódzie na jeziorze Windermere, to doceniam udział naszego dziedzictwa w angielskiej tradycji morskiej.*

Grasmere to bodaj najpopularniejsza wieś w The English Lake District, o długiej XIII-wiecznej historii, ale której światową sławę przyniósł angielski piewca jezior William Wordsworth. Wybitny poeta spędził tu na przełomie XVIII i XIX wieku sześćdziesiąt lat życia (z osiemdziesięciu), sławiąc urodę miejscowej przyrody. – *Wordsworth odegrał jednak dużo istotniejszą rolę niż tylko jako autor sielankowych „Żonkili”* – mówi ze swadą Paul Kleian, rzecznik Towarzystwa Wordswortha, z którym spaceruję po świetnie zachowanym domostwie poety, a wcześniej w zamkniętej dla publiczności części muzeum oglądam oryginalne listy i osobisty księgozbiór poety. – *Wordsworth nie tylko położył fundamenty pod angielski romantyzm, bez niego być może nie byłoby dzieł Shelleya i Byrona. Wordsworth wykreował wśród angielskich elit modę na Lake District. To on sprawił, że przyjechali tu Walter Scott, John Keats, Thomas Carlyle, Alfred Tennyson i inni, a nawet pisarze z Ameryki, m.in. Daniel Hawthorne.*

Od końca XVIII wieku Lake District przyciągał tysiące anonimowych turystów, w tym londyńczyków, których nie odstraszała prawie czterystukilometrowa odległość ani ponura sława wrogich, nieprzebranych Gór Kumbryjskich, jak w 1724 roku pisał Daniel Defoe. Napisany przez Wordswortha i wydany w 1810 „Przewodnik po jeziorach” radykalnie zmienił nastawienie Anglików wobec kumbryjskich atrakcji.

Dove Wordsworth Cottage to przygnieciona ponad dwoma wiekami dwupiętrowa chatynka, jakby wklejona w zbocze góry. Pierwsze z trzech lokum, jakie poeta zajmował w tej okolicy, nim spoczął na zawsze na parafialnym cmentarzu przy kościele św. Oswalda. Zachowane

sprzęty, meble, osobiste utensylia, dokumenty, obrazy dają wyobrażenie o stylu i warunkach życia na angielskiej prowincji w tamtych czasach. – *Zastanawia cię, czemu łóżko Wordswortha jest takie krótkie?* – zagaduje z uśmiechem Paul w sypialni poety. Łóżko, przypominające skrzynię, rzeczywiście nie umożliwiało wygodnego wyciągnięcia się. – *Ludzie spali wtedy półsiedząc, bo bali się, że unoszące się w powietrzu cząstki sadzy i snujący się nisko czad spowodują ich uduszenie* – wyjaśnia. Za domem, właściwie ponad nim, niewielka skarpa, na którą wdrapywał się Wordsworth, by kontemplować idylliczny pejzaż, dziś już przesłonięty budynkami wzniesionymi pod koniec XIX wieku.

Sarah Nelson

nie jest aż tak znana jak poeta Wordsworth, niemniej sława jej też sięga odległych kontynentów. Uchodzi za najstarszą córę Grasmere. W 1854 roku służąca, jako kucharka w domu dzentelmena w nieodległym Patterdale, opracowała przepis i wypiekła najlepsze (!) pierniki na świecie. Od połowy wieku XIX każdy, kto przybywał do wsi, zaglądał do domku przy kościele, by kupić pierniki. Dziś także przed sklepikiem wije się od rana kolejka zdyscyplinowanych Japończyków (to wśród nich Kumbria jest szczególnie popularna). Sekretną recepturę pierników, przekazywaną tylko członkom rodziny, odkupiła od spadkobierców Joanna Wilson, której mąż, żartujący ciągle Andrew, zapewnia mnie, że ściśle przestrzega przepisu Sarah Nelson i choć pierniki sprzedają się na całym globie (przez internet), nie ma zamiaru dokonywać przemysłowej rewolucji. Nadal jest to ręczna produkcja. Czy interes pozostanie w rodzinie? – *Mam troje dzieci i jestem pewien, że któreś z nich doprowadzi firmę do rocznicy 200-lecia* – mówi Andrew. – *Gdy obchodziliśmy 150-lecie, w 2004 roku, miejscowe dzieciaki, ubrane w stroje z epoki wiktoriańskiej, ułożyły ku czci matki-założycielki imię Sarah z wielkich piernikowych liter.*

Kto odwiedził Wordswortha w Grasmere, nie może odmówić wizyty w rezydencji innego wielkiego kreatora angielskiej kultury – Johna Ruskina. To nadal osadza nas w epoce królowej Wiktorii, której to epoki Ruskin był najcenniejszą perłą w koronie. Genialny inspirator, niepokojny duch, poeta, krytyk sztuki, malarz, zmienił założenia estetyczne i moralne XIX-wiecznej Brytanii. W Brantwood, w obszernym domu nad jeziorem Coniston, w którym artysta spędził ostatnie 28 lat życia, czuje się wyraźnie magiczną, ekscytującą atmosferę, jakby Ruskin na-

dal tu był i pracował. W jadalni nakryty stół wręcz sugeruje czas obiadu, zaś za oknami olśniewa panorama wsi, jeziora i gór. Wszędzie soczysta zieleń i wszechobecny fiolet rododendronów, które w tym klimacie zadziwiająco dobrze się czują. Ogrody z czasów Ruskina podkreślają wolniej płynący czas. Każdego lata odbywają się tu warsztaty literackie i malarskie, podczas których miłośnicy Ruskina eksplorują dziedzinę, w których był mistrzem. W połowie czerwca otwarto tu kilkupokojowy cottage, w którym można spędzać weekendy, sycąc się ruskinowskim duchem. Odbywają się benefisy i wystawy sztuki współczesnej i minionej. To nie mauzoleum, ale pulsujące centrum sztuki, promieniujące na cały kraj.

Do Brantwood warto przypląć motorową gondolą z Coniston i przy okazji posłuchać o historii rekordów szybkości bitych na jeziorze przez ojca i syna Campbellów. Z siedmiu rekordów prędkości, jakie Donald (syn) Campbell ustanowił w życiu, cztery pobił właśnie tu, gdzie zresztą zginął w styczniu 1967 roku, próbując łodzią „Bluebird” z odrzutowym napędem przekroczyć prędkość 300 mil na godzinę. Czy wizg łodzi z odrzutowym motorem

nie grzyta

w tym sielskim krajobrazie? Nie, gdyż Lake District pełne jest fascynujących kontrastów, mimo urokliwych, wręcz trącających kiczem krajobrazów. Wystarczy rano popatrzeć poprzez zatokę Morecombe na potężne bloki atomowej elektrowni w Heysham, a godzinę później zatopić się w ciszy liczącego cztery ty-

siące lat kamiennego kręgu w Castlerrigg, by zrozumieć, że piękno przyrody i sekret dziejów to nieodłączne elementy każdego kontrastu. A te zapamiętuje się najdłużej... W hotelu Storrs Hall, wyznaczającym standard najwyższej elegancji i komfortu, pokazywano mi, nie bez zażenowania, ponure piwniczne korytarze, a w nich wilgotne cele, w których – w czasach Wordswortha! – trzymano murzyńskich niewolników. Zwoził ich miejscowy rzutki biznesmen, sir John Bolton. Pracowali w rezydencji i na farmach, ale szybko umierali z zimna i stresu. W półkolistych sklepieniach tkwią dotąd żelazne haki, za które zaczepiano łańcuchy. W tej samej krainie, ale na dzikim wybrzeżu morskim, w Sellafield, ulokowano w 1942 roku tajny ośrodek badań nuklearnych, współpracujący z Amerykanami w projekcie „Manhattan”. Dziś to zajmująca się utylizacją odpadów atomowych największa firma regionu z 10 tysiącami pracowników (choć to i tak trzy razy mniej niż Kumbryczyków pracujących w tutejszym sektorze turystycznym). Albo weźmy kwakrów... Ten skrajny odłam purytanów narodził się właśnie w Kumbrii w XVII wieku i do dziś, na historycznych paradach w Kendall, można ujrzeć ich charakterystyczne, jednokonne powózki. To tu założyciel ruchu, George Fox, gromadził tłumy wyznawców i stąd wyruszyli w świat kwakerscy misjonarze. Stąd, gdzie dziś, w Seascale, na wybrzeżu Morza Irlandzkiego, buduje się najnowocześniejsze atomowe okręty podwodne Royal Navy...

**Tekst i fot.:
HENRYK MARTENKA**



Moje rekomendacje:

- Hotel Storrs Hall www.englishlakes.co.uk/hotels/storrs-hall/
- Wild Boar Inn www.englishlakes.co.uk/the-wildboar-inn
- Gilpin Hotel & Lake House www.gilpinlodge.co.uk/
- Mountain Goat www.mountain-goat.com
- Grasmere Ginger Bread Shop www.grasmeregingerbread.co.uk
- Brantwood www.brantwood.org.uk
- Visit English Lake District – www.visitenglishlakedistrict.com

Książka w plecaku

Zobaczyć Wiedeń i...



Na szczęście nikt nie wymaga od nas tego, co miasto Sorrento. Ale umrzeć i nie zobaczyć Wiednia? To zaiste niewybaczalne. I nie wypada! Opuścić sobie spacer po Grinzingu albo cesarskim parku w Schönbrunn? Nie spędzić dnia na Praterze albo nie powągsać się po Ringstrasse? Nie zachwycić się dziełami, jakie oferuje dzielnica muzeów albo Belweder? Letni pałac księcia Eugeniusza Sabaudzkiego?

Dla ludzi znających już austriacką stolicę katedra św. Stefana czy Hofburg to miejsca traktowane niemal rodzinnie. Nie można dobrze poznać tego miasta, jeśli się wcześniej nie zaznajomiło z najcenniejszymi ikonami Wiednia. Wypatrywanie duchów cesarzowej Sisi albo Franciszka Józefa, nieustanne odkrywanie dystygowanego klimatu dynastii habsburskiej, a jednocześnie świadomość, że znajdujemy się w centrum wielokulturowego świata cesarsko-królewskiego imperium, działają na każdego niczym zastrzyk adrenaliny.

Współczesna stolica, przewrotnie reklamowana: „Wiedeń jest inny”, zaskakuje turystę niemal w każdym miejscu. Dawne sklepy stają się popularnym miejscem spotkań. Niewytrzymujące handlowej konkurencji placówki stają się ośrodkami integracji młodych. Powstają w nich kluby i bary o sympatycznej, domowej atmosferze. Pasaże i stacje metra stają się w Wiedniu gwarnymi punktami zbornymi dla setek bawiących się ludzi. W pobliżu otwierają swe pracownie projektanci i architekci. Wiele obiektów spełnia kilka funkcji naraz. Bar dzieli lokum z salonem fryzjerskim i butikiem („Transporter”), w księgarni można zjeść obiad, gdyż jest to księgarnia kulinarna z księgozbiorem liczącym 2,5 tysiąca fachowych tytułów („Babetts”).

Bogactwo kulturalne Wiednia jest magnesem dla prawie pięciu milionów odwiedzających każdego roku to miasto. Warto jest sobie ten fakt uświadomić, choćby przez lekturę syntetycznie opracowanego przewodnika, z jakim można spędzić inspirujący weekend w mieście, które trzeba odwiedzić. Choćby tylko raz w życiu.

Ł. Azik

WALTER M. WEISS. WIEDEŃ. Przeł. B. Kuś, W. Wagner. Seria Marco Polo, Wydawnictwo PASCAL, Bielsko-Biała, s. 148. Cena 26,90 zł.